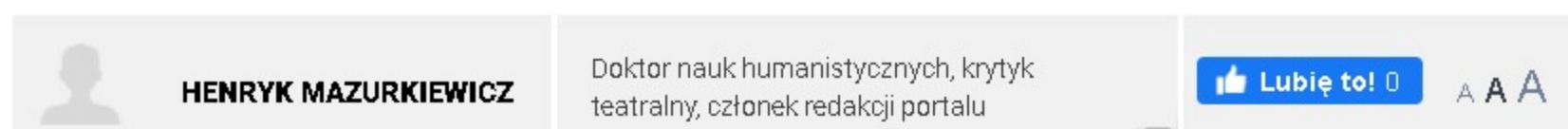


## Każdemu po zielonej

**HENRYK MAZURKIEWICZ**

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu

Lubię to! 0

A A A



Fot. Sinbro Studio

**Pia Partum miała przed sobą nie lada wyzwanie. W dalekim już 1978 roku na deskach tegoż Teatru Norwida w Jeleniej Górze *Nadobnie i koczkodanów, czyli Zieloną pigułkę* jako swój reżyserski dyplom zrealizował Krystian Lupa. Przedstawienie młodego reżysera okazało się prawdziwym sukcesem. Spektakl zyskał międzynarodowy rozgłos, wyjechał na „wycieczkę” na Węgry i do Włoch. Jak się domyślam, najnowsza premiera nie miała zamiaru kryć się w długim, liczącym bez mała czterdzieści lat cieniu tamtej realizacji. Czy to się jej udało? Szczerze mówiąc, mam co do tego niejaki wątpliwości.**

Notka w programie zapewniała, że reżyserka śmiało przeniosła dramat Witkacego we współczesne realia. Aha. Po obejrzeniu przedstawienia chciałoby się zapytać – a właściwie na czym owe temporalne przeskokki miałyby polegać? To, co zobaczyłem na jeleniogórskiej scenie, zupełnie wymyka się zaszkladkowaniu w określonym czasie czy epoce. Sto lat wcześniej czy dwieście później – co za różnica? I tak trudno się połapać. Przestrzeń zorganizowana za pomocą minimalistycznej scenografii Magdaleny Maciejewskiej wydaje się tak samo umowna jak czas. Na scenie widzimy ogromną, okrągłą konstrukcję, wielki drewniany mur otaczający i ograniczający przestrzeń gry. Ściana ta znika, staje się jak gdyby przejrzysta w miejscu, gdzie znajduje się proscenium. Widzowi pozostaje rola podglądacza, wpatrującego się w zawartość wielkiego kotła, w którym gotuje się cała ta nihilistyczno-arystokratyczna zupka.

Odpowiedzialny za kostiumy Andrzej Sobolewski ubrał wszystkich bohaterów w futra noszone na gołym czy prawie gołym ciele. Na nogach aktorów widzimy białe adidasy. Niektórzy z mężczyzn noszą szpilki. Zresztą białe pończochy też. Podobna androgyniczność przejawia się też na poziomie ruchów i wszelkiej ekspresji ciała czy raczej w szczególnie popularnej tu nadekspresji. Od razu czuć, że przebywamy w świecie przesady, przejawskawienia, przerysowania oraz wszystkich możliwych „nad” i „zbyt”, które mają zamaskować ogromną, prawie kosmiczną pustkę i bezsens.

Całe przedstawienie to w zasadzie opis jednej, łagodnie rzecz ujmując, imprezy. Coś pomiędzy balem debutantów a rzymskimi bachanaliemi. Doprawdy, nie zdziwiłbym się, gdyby na przedstawionej na jeleniogórskiej scenie „impreze” pojawił się Lord Henry razem z Dorianem Grayem. Z podobną łatwością uwierzyłbym, gdyby pod koniec spektaklu powiedziano, że wszystko to miało miejsce nie w pałacyku, ale na jakimś statku kosmicznym, który już dawno temu opuścił umierającą z głodu staruszkę Ziemię. Rzecz jasna, na pokładzie znaleźli się tylko ci „najlepsi” przedstawiciele rodu ludzkiego. W spektaklu bierze udział znaczna liczba statystów, którzy stają się gośćmi niejakiego Pandeusza Klawistańskiego (Grzegorz Margas), pieszczotliwie zwanego Pandziem. Wśród nich niczym święty wśród zabaw i hulank na placu Sodomy kręci się Tarkwiniusz (bardzo dobra rola Karola Kadłubca). Jest uczniem, wychowankiem i podopiecznym gospodarza. Więcej nawet, jest jego osobistym eksperymentem, z którym Pandzio wiąże wielkie, chociaż bliżej nieokreślone nadzieje. Tej szczególnej nocy o wyznaczonej godzinie, po okresie wstrzeźmielności i zachowania czystości płciowej Tarkwiniusz ma dostać od swego guru tajemniczą, ale znowu bliżej nieokreśloną wiedzę.

Taki był plan, takie były marzenia. Ale spektakl zdołał wszystko to pokrzyżować, postawić na głowie, obrócić w farsę, popchnąć w stronę tragedii. Najpierw dzieje się to za pomocą „żywiu żeńkiego” (no a jak?), a potem na ratunek przychodzi nauka w postaci tytułowej zielonej pigułki. Ów dziwny „lek” ma być „eksperymentem wyzwajającym podświadomie upragnioną czułość i umożliwiający ciepły, tkliwy... zwierzęcy kontakt”. (Proszę nie mylić z tzw. tabletką gwałtu). Jak głosi jej wynalazca: „Działanie jest świetne, ale śmiertelne”. Pod sam koniec, a spektakl trwa jakieś pięćdziesiąt minut, okaże się, że wcale nie żartował. Dosłownie – śmiertelne.

Wieczór przebiega mniej więcej w takim oto rytmie: dialog – zmiana niezbyt skomplikowanej choreografii – dialog. Problem jednak polega na tym, że po obejrzeniu tego wszystkiego nie mam zarzutów tylko w stosunku do muzyki Tomasza Mreńca. Transowmystyczne motywy muzyczne, ciągle balansujące między byciem czystym tłem a wkroczeniem w akcję na zasadzie osobnego bohatera, są jednym z nielicznych bezdyskusyjnych atutów przedstawienia. Znacznie gorzej wygląda sprawa kreacji aktorskich. Nie najlepiej w spektaklu wypadły panie. Trudno im było się odnaleźć w tym świecie manipulacji, władzy i seksu. Znacznie pewniejsi siebie byli mężczyźni. Niektórzy z wielką przyjemnością, niejaki upodobaniem nawet czy ekshibicyjnym zapalem demonstrowali swoje włochate piwne brzuszki, inni zaś znajdowali pocieszenie w demonstracji alkoholowo-narkotycznej ekstazy.

Jak się domyślam, *Nadobnie i koczkodany* miały być gorzko-ostrą minirozprawą na temat naszej nieszczęsnej płynnej nowoczesności. Nie przez przypadek więc w cytowanej już zapowiedzi pojawia się nazwisko Zygmunta Baumana. Nadmierny relatywizm, przekraczająca wszelkie granice wolność, upadek wiary w Wielkie Narracje, autonomizacja zachowań seksualnych – cały pakiet ulubionych problemów znanego socjologa.

Jak wiadomo, Witkiewicz był prawdziwym mistrzem w opisywaniu podobnej egzystencjalnej pustyni i świata kalekich dusz. Niestety, cała zasługa w dotykaniu tych nadal aktualnych problemów pozostaje po jego stronie. Groteskowy dramat, napisany prawie sto lat temu, wcale nie stracił na aktualności, lecz forma, w jaką ubrała go reżyserka, niedużo wnosi w cały ten – przepraszam za słowo – dyskurs. Należałoby wgryźć się w tekst, doprawdy dziwny, wielowarstwowy, kipiący absurdem, kpina. Zaprzęć go do pracy, do orania współczesnego nam pola sensów i kategorii. Na razie moral całej historii jest zarówno niepocieszający, jak i zbyt jednoznaczny. Upadek tych wszystkich „koczkodanów” i „nadobnie” wydaje się nieunikniony. Ale z drugiej strony kto by tu miał zasłużyć na nasze współczucie? Całe szczęście, że na tych „ludziach” świat się nie kończy. I w tym widzę niejaki nadzieję.

8-06-2015

Teatr im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze

Stanisław Ignacy Witkiewicz

***Nadobnie i koczkodany, czyli Zielona pigułka***

reżyseria: Pia Partum

ruch sceniczny: Małgorzata Fijałkowska

scenografia: Magdalena Maciejewska

kostiumy: Andrzej Sobolewski

muzyka: Tomasz Mreńca

obsada: Marta Kędzióra, Agata Moczulska, Anna Ludwioka-Mania, Robert Dudzik, Jacek Grondowy, Bogusław Kudłek,

Piotr Koniczyński, Bogusław Siwko, Tadeusz Wnuk, Karol Kadłubiec, Grzegorz Margas

premiera: 09.05.2015

TAGI: [Stanisław Ignacy Witkiewicz](#), [Krystian Lupa](#), [Pia Partum](#), [Magdalena Maciejewska](#), [Małgorzata Fijałkowska](#), [Andrzej Sobolewski](#), [Tomasz Mreńca](#), [Jelenia Góra](#), [Teatr im. Cypriana Kamila Norwida](#),

Udostępnij

Lubię to! 0

## SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden razy osiem jako liczbę: 

## KOMENTARZE (1)

**ja się pytam** | 2015-09-16 11:21:38

Cytuj

Dlaczego takie słabe. Gdzie był reżyser?

## POWIĄZANE TEATRY

Teatr im. Cypriana Kamila Norwida

## PRZECZYTAJ TEŻ

 Miroslaw Kocur  
O sobie samej jako innych


 Lukasz Drewniak  
Kolonoatnik 30: W garści


 Magda Piekarska  
Czy golec ma prawo być goły?


 Lukasz Drewniak  
K/100: Stary człowiek i morze


 Henryk Mazurkiewicz  
Polski Awinion


 Henryk Mazurkiewicz  
Ty, Iwanow, lepiej już śpij

## KALENDARIUM

 16 XI 2022  
Międzynarodowy Festiwal Sztuki Opowiadania XVII edycja - Pieśniarze i ich opowieści


 21 XI 2022  
XLVIII Tyskie Spotkania Teatralne


 03 XII 2022  
Cykl "Bóg i proch" - część szósta

## BĄDŹ NA BIEŻĄCO

